

Skarb krajobrazu

Marek Stokowski

Muzeum Zamkowe w Malborku

Mój głos w dzisiejszej dyskusji będzie przede wszystkim głosem pisarza. Posłużę się też moim wieloletnim doświadczeniem pracownika jednej z głównych atrakcji turystycznych w Polsce i autora felietonów w branżowym piśmie „Aktualności Turystyczne”.

Ktoś z państwa może się obruszyć i zapytać, dlaczego podczas tego spotkania ma słuchać kogoś, kto nie jest naukowcem, przyrodnikiem, profesjonalnym ekologiem, architektem krajobrazu, leśnikiem itp. Dlaczego ma słuchać wywodów autora powieści i wierszy? Pozwolę sobie odpowiedzieć w następujący sposób:

W dyskusji nad kształtem naszego kraju, nad obliczem naszej ziemi, może warto uwzględnić – oprócz głosów uczonych oraz gospodarzy gmin i powiatów – spojrzenie z perspektywy pozanaukowej i poza-administracyjnej? Zwłaszcza że pisarz – a specjalnie w tradycji polskiej – jest tym, który nader często mówi za innych, mówi w imieniu tych, którzy nie mogą mówić, mówi w ich obronie. Dziś będę mówić w obronie naszej ziemi.

Ośmielę się stwierdzić, że Polska jest jednym za najbardziej zaśmieconych widokowo krajów Europy. Pełno u nas architektonicznego bałaganu, kamiennych potworów w rodzaju krakowskiego *Szkieletoru*, pełno po-peerelowskich ruder i nowobogackich pałaców z jarmarcznym urokiem bałasków w tarasowych balustradach, z wieżyczkami dla księżniczek i cmentarną roślinnością. Pod miastami dyżuruje masa domków letniskowych z blachy, dykty albo eternitu. Prawie wszędzie straszą wraki starych fabryk, martwe magazyny i kominy, jakieś betonowe płoty z gryzmołami, zardzewiałe kościotrupy maszyn, a do tego jeszcze śmieci w lasach, na miejskich podwórkach i wiejskich obejściach.

W tym zdumiewającym i przygnębiającym anturażu kryją się gdzieś skarby. Tutaj średniowieczny zamek, tam piękne jezioro i knieja, tu wyborny kościół barkowy, schludna wieś i fragment dzikiej, nieskalanej niczym rzeki, ówdzie pasmo urokliwych gór, kawałek zadbanego miasta, ładny hotel, nowoczesny port lotniczy, cudowna plaża. Tylko że, gdy jedzie się w te miejsca z gośćmi, zwłaszcza z

obcokrajowcami, to ma się ochotę zasłaniać im oczy i odsłaniać je dopiero po przyjeździe w Tatry, do katedry, zamku, puszczy pełnej żubrów czy nad złoty brzeg Bałtyku, bo, cholera, wstyd aż piecze, kiedy nasi podopieczni patrzą z okien autokaru i nie mogą w żaden sposób pojąć, jak tak można, jak tak można zapaskudzać własny kraj – dar niebios.

Skąd ten bezład, nieład, zmarnowanie, ta bolesna dysharmonia? Powodów zapewne jest wiele. Podam tylko dwa, według mnie główne: komunizm i jego dziedzictwo oraz słabe zakorzenienie nowych mieszkańców tzw. ziem odzyskanych

O komunizmie nie chcę mówić zbyt dużo, bo to jest temat na epopeję i w dodatku potrzebujemy do jej napisania Mickiewicza a nie Stokowskiego. Mówiąc najkrócej, po roku 1945 zostaliśmy włączeni w granice sowieckiej cywilizacji rozpadu, cywilizacji skrajnego okrucieństwa wobec ludzi i przyrody, cywilizacji niewolnictwa, pijaństwa i dziadostwa.

Ten rozpad świata, ta brzydota towarzysząca komunizmowi jest fenomenem nie tylko fizycznym, ale wręcz metafizycznym. Przecież w tym systemie brzydły nie tylko przedmioty, ale nawet ludzkie twarze! Czytałem wspomnienia Polaków ze Lwowa, którzy z największym zdumieniem zauważali, że to piękne miasto zaczęło dziadzieć już po kilku tygodniach od wejścia Armii Sowieckiej. I razem z miastem błyskawicznie dziadzieli ludzie.

W Polsce, jak wiemy, proces sowietyzacji nie zaszedł aż tak daleko jak w Rosji czy na Ukrainie. Utrzymaliśmy znaczące enklawy cywilizacji zachodniej, przede wszystkim w postaci gospodarstw rodzinnych czy choćby klasztorów z ich dbałością o ład i czystość. Istniały także takie enklawy w przestrzeniach instytucji państwowych! Pozwolę sobie powiedzieć, i czynię to bez cienia pochlebstwa, że zawsze imponowały mi schludne polskie leśniczówki i w ogóle dbałość o polskie lasy.

A jednak – pomimo tych wysepek ładu i troski – Polska jako taka została w ogromnym stopniu zdewastowana. Była to i nadal jest dewastacja jej infrastruktury, architektury i przyrody. Było to też zniszczenie człowieka, zwłaszcza moralne. Nastąpiło rozbicie solidarności społecznej, poczucia odpowiedzialności, erozja odwagi i wiary w sens działania dla dobra wspólnego. To są rany nie uleczone aż do dzisiaj.

Wszelako nie możemy wszystkiego zrzucić na sowiecką Rosję i jej namiestników sprawujących przez lata rządy w skolonizowanej przez imperium Polsce. Zmarnowanie naszego kraju jest wynikiem także naszej własnej polskiej niegospodarności, zwłaszcza na terenach tzw. ziem odzyskanych. Dlaczego właśnie tutaj, dlaczego szczególnie tutaj? Ano dlatego, że nie dla wszystkich spośród nas owe tereny, na przykład Powiśle i szerzej –

obszar dawnych Prus, stanowiły i stanowią ziemię rodzinną. Wielu z nas to osadnicy lub osoby wzrastające w rodzinach powojennych osadników.

Niestety, bardzo często nowi osadnicy nie rozumieją zasiedlanej przez nich ziemi i nie mają dla niej ani serca, ani szacunku, bo te zazwyczaj dziedziczy się po przodkach. To jest zjawisko podobne do tego, jakie Polacy obserwują podczas odwiedzin swoich rodzinnych miejsc na Kresach Wschodnich II Rzeczypospolitej. Pęka nam serce, kiedy widzimy tam zmarnowane budynki, wycięte drzewa, zarwane mosty i zdewastowane kościoły.

W Polsce, według moich obserwacji, fenomen niszczenia zastanego świata kultury i przyrody szczególnie mocno widoczny bywa na Dolnym Śląsku, na przykład u podnóża Gór Sowich. Zwracam uwagę, że region Gór Sowich nigdy wcześniej nie znajdował się w granicach naszego państwa. Widziałem tam masę zrujnowanych, niegdyś pięknych domów, widziałem zdziczałe grody, podupadłe, zarośnięte liszajem miasteczka. Ktoś wyjaśniał mi, że po wojnie osadnicy ze Wschodu nie byli w stanie zaprzyjaźnić się z tą ziemią. Nie byli w stanie uwierzyć, że ona będzie już ich – na pokolenia. Mówiło się: „Niemiec tu wróci, więc po co będziemy inwestować w te gospodarstwa albo kamienice”. Owa kraina w sensie psychicznym nie była ich, była obca, więc o nią nie dbali. Kiedy zabrakło opału, potrafili zerwać klepki z podłogi i wrzucić je do pieca, kiedy zapadł się sufit nad kuchnią, przenosili się do stołowego. Także drzewa w ogrodach i przy drogach, nie były ich, nie były kochane, bo nikt z nowych osadników nie wspinał się na nie w dzieciństwie, nie przeżywał w ich cieniu pierwszego pocałunku, nie piastował pod nimi pierworodnego syna.

I tam, w Górach Sowich, i w innych miejscach dzisiejszej Polski, po 1945 roku ziemia bywała traktowana po macoszemu, trochę jako łup wojenny, jako tymczasowa przystań. Oczywiście zjawisko to w znaczący sposób zostało zintensyfikowane przez wpływy komunizmu, z jego wspomnianym już wcześniej niewyobrażalnym bałaganem, gospodarką niedostatku, złodziejstwem, korupcją, pijaństwem i nieodpowiedzialnością.

I tak w wielu regionach Polski zaczęliśmy mieszkać na śmietniku. Na szczęście, tu, u nas, nad dolną Wisłą nie było i nie jest aż tak źle. Zapewne stało się tak z różnych powodów. Z pewnością ważną rolę odegrał fakt, że nasi przodkowie mieszkali i gospodarowali tutaj od wielu stuleci. Żywioł polski na tych terenach istniał od wieku XIII, bowiem w Prusach krzyżackich osiedlali się masowo także Polacy, zwłaszcza Mazowszanie. Po upadku państwa rycerzy krzyżackich przez ponad trzy stulecia Żuławy i przeważająca część Prus należały do Królestwa Polskiego, a jeszcze później, po

rozbiorach, nadal aktywni gospodarczo i kulturowo byli tu nasi rodacy, że wymienię tylko rody Sierakowskich czy Donimirskich. To tu, w Dolinie Kwidzyńskiej, powstał na początku XX wieku fenomen Małej Polski w okolicach Janowa. To tu, na Żuławach i w Prusach Wschodnich zakładane były i prowadzone polskie szkoły – wbrew szykanom i prześladowaniom. A zatem ta ziemia w żadnym wypadku nie była nam po 1945 roku obca. Wszelako nie zawsze byliśmy jej wierni i do dziś nie zawsze ją dostatecznie szanujemy, tak jak powinno się szanować matkę – dla niektórych z nas może przybraną, ale matkę.

Odnoszę wrażenie, że młodsze pokolenia, czyli ludzie, którzy urodzili się i wychowali już na obszarach będących przed wojną poza granicami Rzeczypospolitej, mają z zakorzenieniem się tutaj o wiele mniej problemów. Dla nich – jak ufam – ta ziemia z natury rzeczy jest własna i oswojona. Oto skromny przykład.

Był rok 2003. Wracaliśmy z grupą licealistów – działających w Młodzieżowym Kole Przyjaciół Zamku – z warsztatów edukacyjnych, które odbyły się w Szwecji. Byliśmy w przepięknej krainie Bohuslan, w pobliżu granicy z Norwegią. Fiordy, lasy, jeziora, tajemnicze skały. Byliśmy w bajce. I oto w pociągu z Gdyni do Malborka, 18-letni Tomek, który mieszkał w jednej z wsi żuławskich, powiedział do mnie: „Cieszę się, że już wracamy. Mam taką wielką ochotę wyjść za nasz dom i popatrzeć na pola. Robimy tak często z bratem. Nigdzie nie jest tak pięknie!”. Po doświadczeniu bajkowego Bohuslan, płaskie Żuławy mogły się wydawać monotonne, nieciekawe. Dzięki Tomkowi – którego rodzina też przyjechała na Żuławy z daleka, z południowej Polski – okazało się zupełnie inaczej. Bo on patrzył nie tylko oczami. Mimo że był jeszcze tak młody, widział więcej. I tego mnie nauczył. Mnie – powiślańsko-żuławskiego przybłędę z Mazowsza, który codziennie widzi z okna w przestrzeń pól aż po linię Wisły.

No dobrze, niby jest coraz więcej ludzi pełnych szacunku dla naszej ziemi, ale nadal w tak wielu miejscach kraju otacza nas krajobraz po bitwie. Co więcej, bywa, że destrukcja krajobrazu naturalnego i kulturowego wciąż postępuje. A zatem potrzebna jest ogromna praca nad budowaniem świadomości tego, jak wielkim skarbem jest krajobraz i jak ważne jest odpowiedzialne gospodarowanie tym bogactwem. Idzie o to, aby uświadomić sobie i innym, że ziemia z jej krajobrazem przyrodniczym i kulturowym – kulturowym, to znaczy stworzonym przez wysiłek pracowitych pokoleń – nie jest artykułem jednorazowego użytku, że jest czymś więcej niż tylko surowcem produkcyjnym, i że jesteśmy za nią odpowiedzialni także wobec następnych generacji.

Taka świadomość społeczna budowana bywa wielorako. Przede wszystkim dzięki wychowaniu w rodzinie, a także za pomocą edukacji publicznej, edukacji religijnej czy szerzenia informacji za pomocą mediów elektronicznych. Tę świadomość może także tworzyć sztuka, w tym – literatura.

Podobno naiwnością jest sądzić, że jakieś teksty literackie wpływają na ludzkie widzenie świata i na zmianę zachowań. Podobno sztuka jest niemal bezsilna wobec zła i głupoty. A jednak czasem zdarzają się cuda. Czasem słowo i obraz literacki zyskują niezwykłą moc i potrafią trafiać do ludzi. Przypomnę choćby rolę polskiej literatury romantycznej w kształtowaniu polskich aspiracji wolnościowych. I przypomnę coś pozorne bardzo drobnego – słynną frazę księdza-poety Jana Twardowskiego: „Spieszmy się kochać ludzi, tak prędko odchodzą”. Kto wie, ilu z nas otrzymało dzięki tym słowom realną pomoc w życiu albo ilu z nas zatrzymało się w biegu i okazało choć trochę serca swoim bliskim albo nieznanym.

Pisząc powieść „Stroiciel lasu” – pewnie tak jak każdy autor – marzyłem właśnie o takim cudzie, czyli o tym, aby powstająca książka miała jakieś znaczenie dla innych, mogła być im pomocna. I aby przyszła z pomocą polskim krajobrazom.

To marzenie – według mnie – nie ziściło się. Owszem powieść zyskała względne uznanie i jaką taką popularność, głównie dzięki jej lekturze w odcinkach w radiowej Trójce, ale w żaden sposób nie zaistniała w świadomości ludzi stąd, moich sąsiadów z Powiśla i okolic. A przecież akcja „Stroiciel lasu” rozgrywa się właśnie tutaj, w puszczy na krawędzi doliny Wisły. Ten tekst ma wielu przyjaciół w całym kraju, nawet w Dublinie na spotkanie autorskie przyszło wiele osób, które ją znały, tymczasem u nas – raczej brak zainteresowania. Broń Boże nie narzekam, mówię tylko, jak jest.

Ta powieść jest w hymnem sławiącym krainę nad dolną Wisłą:

„Las rozciągał się szerokim pasem z południa na północ, równoległe do koryta szarej Wisły. Na północy zieleń rozlewała się aż po horyzont. Pośród niej rdzewiały plamy drzew liściastych, a raczej bezlistnych, czekających na wiosenny wielki wybuch. W mocnym słońcu migotały tu i ówdzie wody leśnych stawów i strumieni. Na północnym-wschodzie, zza krawędzi lasu wystawała czapka miasta, niewielkiego, ale ze szpitalem, urzędami i szkołami. Czapka unosiła się na dwóch jeziorach i była koloru dachówek i anten.

Na wschodzie, za puszcza, na łagodnych wzgórzach spały pola, pokreślone zygzakami dróg, właściwie alej, z charakterystycznymi dla tej ziemi szpalerami starych

grabów, lip i klonów. Pośród wzgórz mieszkały wsie z ceglano-kamiennymi kościołami. Gdzieś pomiędzy strefą pól a krańcem lasu przebiegała linia kolejowa z niewidoczną z oddalenia, małą stacją Mleczne Pole. Czasem słyhać było pociąg, lecz nie dało się go dostrzec – M tego żałował, bo pociągi są niesamowicie piękne, zwłaszcza te na bocznych szlakach, te niespieszne i dalekie jak zabawki małych dzieci. (...)

Po zachodniej stronie pradoliny cuda były jeszcze bardziej niepojęte. Na przeciwnym brzegu Wisły, na wyniosłej skarpie stał krzyżacki zamek z narożnymi wieżyczkami. Pilnował krainy fałdowanych pól i borów. Bory szły ogromnym łukiem, od wysokich wzniesień ponad rzeką aż po samo połączenie ziemi z niebem, tak daleko, że nie dolatywał tam już wzrok i musiał wracać. (...)

Bohater powieści to człowiek, który przez długi czas przebywa w śpiączce, a po wyjściu ze szpitala trafia do domu pomocy społecznej. Z czasem udaje mu się opuścić DPS i wyjechać właśnie tutaj, na północ. Podczas leśnych wędrówek stopniowo odzyskuje władze cielesne i duchowe. Jego głównym zajęciem staje się coś bardzo dziwnego... harmonizowanie brzmienia rozstrojonych drzew i zakątków puszczy. Ale co to znaczy, że las jest rozstrojony? Posłuchajmy:

„M odkrywał miejsca tak potwornie rozstrojone, że doprowadziłyby do załamania nerwowego nawet stu profesjonalnych stroicielei – miejsca, w których już nie dało się nic zdziałać. Myślę tu nie tylko o wyrębach. Mówię również o tych jamach, dołach, zwykle na obrzeżach lasu i przy duktach, gdzie hołota wywalała gruz, eternit, stare pralki, wanny, zdechłe krowy i trabanty, i do tego rozrywała grunt gąsienicami, tak głęboko, że przez lata nie mógł się zbliżnić. W takich strefach śmierci sublokator pani Kosakowej zdawał się bezradny i – co więcej – czuł się chory. Musiał z nich uciekać, by ratować to, co było do uratowania (...).

Pewnie domyślają się państwo, że nasz bohater uznawany jest przez wielu jako ktoś niespełna rozumu. No bo tylko wariat, pomylenieć może wierzyć, że da się nastroić las. Ale on to robi – i to dość skutecznie:

„M zastygł bez ruchu – na czterdzieści siedem sekund – po czym podszedł do strumienia. Zdjął parę rękawic. Przykucnął. Przemieścił w potoku trzy spore kamienie. Woda miała uścisk lodu, aż kruszyła kostki w dłoniach. Nawet nie wiem, czy to zauważył. Chwilę słuchał. Było lepiej (...).

Wytarł dłonie o nogawki kanadyjskich spodni i w skupieniu nadal nasłuchiwał. Po siedmiu sekundach wydobył z plecaka scyzoryk (...) i podszedł do drzewa, które rosło za strumieniem. (...) Ze starego świerka odpadała chora kora. M oczyścił pogryziony przez

robale obszar pnia i wykonał trzy nacięcia. (...) zupełnie nie wiedział, dlaczego ciął właśnie trzy razy i dlaczego w tych, nie w innych miejscach. A potem uczynił coś jeszcze – rozdzielił konary dwóch stojących ramię w ramię kilkunastoletnich sosen. Nawet w tej bezwietrznej chwili drzewa ocierały się o siebie, odzierając skórę aż do kości. M odciągnął i ułożył ich gałęzie w taki sposób, aby nie stykały się ze sobą. Powrócił nad wodę.

Panowała wielka cisza.

To nie była cisza martwa, ale żywa.

To nie był brak dźwięków, ale ich zupełna zgoda.

To był pokój między żywiołami. Na zewnątrz i wewnątrz.

To była muzyka – dokładnie ta sama, co kiedyś, na górze.”

Co w istocie czyni nasz stroiciel? Czy idzie mu wyłącznie o uzdrawianie lasu? Zapewne domyślacie się państwo, że ta opowieść jest wielką metaforą. Że idzie w niej nie tylko o las, ale o cały kraj. To jest wielkie marzenie o przywróceniu w Polsce harmonii zarówno w królestwie przyrody, jak i w przestrzeni społecznej, duchowej. Idzie o zagojenie tych ran, które zadał nam komunizm i żywioł plebejski, który królował z jego nadania i niszczył wszystko dookoła. A jedną z najgłębszych ran Polski jest dewastacja jej krajobrazów.

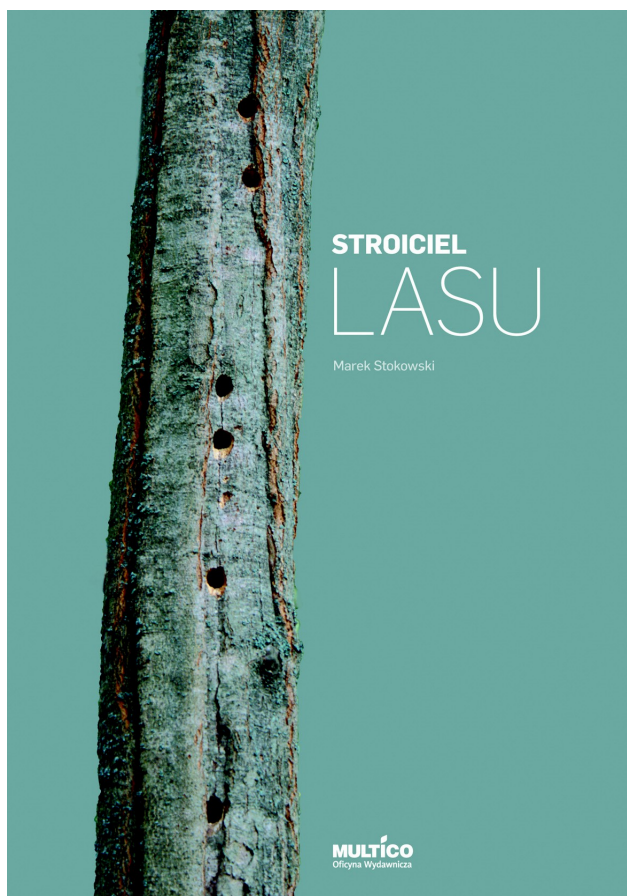
W jakimś sensie „Stroiciel lasu” stawia nam osobliwe zadanie. Sugeruje, iż musimy podjąć się harmonizowania Polski (wielu z państwa czyni to już od dawna i na co dzień!). W tym wielkim dziele nadzwyczaj ważne jest strojenie tego, co nas bezpośrednio otacza, strojenie krajobrazu za naszym oknem. Jeśli zaś mowa o strojeniu krajobrazu dawnych Prus, to zawiera się w tym także obrona alej – niezbywalnego elementu przyrodniczego i zarazem kulturowego tej ziemi. O tych alejach napisałem kiedyś, jeszcze jako bardzo młody człowiek, w wierszu „Wędrowka przez Żuławy”:

(...) Oto drogi, pola,
zielone i płaskie, jak paleta Boga.
Oto woda z łodem niegdyś rozdzielona
tu z ziemią na powrót miesza się w czarnoziem.
Oto drzewa:
lipy, klony i topole –
miłosierdzie cienia, skrzydlate tunele. (...)

Na sam koniec powiem, że na stroicielu nadwiślańskiego lasu zrobiła kiedyś wielkie wrażenie pewna historia związana ze słynnym indiańskim wodzem Sitting Bullem.

Otóż – podobno – jakiś czas przed śmiercią (Sitting Bull zmarł w 1890 r.), miał rozmowę z białymi osadnikami, którzy opanowali już niemal cały środkowy-zachód Ameryki, to znaczy ziemie Indian. Stary wódz nie przeklinał ich, nie pomstował na nich, nie powiedział im: „Idźcie stąd, zjeżdżajcie, dajcie nam spokój”. Rozumiał, że to oni będą odtąd nowymi gospodarzami jego prerii. Zamiast złorzeczyć, powiedział im te słowa: „Teraz, kiedy tu jesteście i już tu pozostaniecie, proszę was i błagam – kochajcie tę ziemię”.

To jest testament także dla nas..



Ilustracja 1: Okładka powieści "Stroiciel Lasu"

Artykuł pochodzi z konferencji „Aleje Powiśla”, która odbyła się 15 września 2013 r. w Muzeum w Kwidzynie a organizowana została dzięki wsparciu Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej oraz Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku.

